LITERATURA NADOBNA.

Cnotliwi są zaszczytem i chlubą swojego rodu, powieść Chińska *) z dzieła Duhalda.

Dobro lub zło sprowadzá szczęście lub niedolę: jedno powściąga od występku, drugie staje się ponętą do cnoty.

Pewna familia miernego stanu, żyła w mieście *Vou si*, prowincyi *Kiang-nan*, lenney władzy panującego w *Tchang-tcheou*. Trzey bracia składali tę rodzinę: naystarszy nazywał się *Liu* Dyament, średni *Liu* Skarb, a naymłodszy *Liu* Perła. Ten ostatni był jeszcze w kwitnącey lat dobie: dway inni doyrzalszego wieku, żonatymi już byli. Imie żony pierwszego *Ouang*, drugiego zaś *Yang* było. Obie posiadały zachwycające wdzięki, lecz różny sposob myślenia.

Liu Skarb, miał skłonność tylko do gry i wina, żadnego zaś nie okazywał pochopu do cnoty. Żonę jego podobnież zdobiły przymioty: wszelkie dobro obcém było dla jey skażonego serca; gdy przeciwnie jey bratowa, wzorem była skromności i umiarkowanego życia. A tak, lubo te kobiéty w dosyć dobrem między sobą żyły porozumieniu, ich serca atoli słabe łączyły ognie.

Ouang miała syna nazwanego *Hi-eul*, to jest: dziecię roskoszy. Ten mały chłopczyna nie dosiągł jeszcze lat sześciu spełna, gdy dnia jednego, wybiegłszy na ulicę z innemi dziećmi sąsiednich domów, aby się przypatrzyć uroczystym obrzędom odbywającey się processyi, zniknął w tłumie

*) Początek tey powieści, innego tłumaczenia, umieszczony był w Tygodniku Wileńskim r. 1822.

ludu, i wieczorem nie wrócił do mieszkania rodziców.

Ta strata bolała zarówno oyca jak matkę. Rozesłali natychmiast bilety po wszystkich ulicach, obwieszczające wydarzoną im przygodę, i nie było żadnego w mieście zakąta, gdzieby nie czyniono poszukiwania postradanego dziecka. Lecz wszystkie zabiegi bezskutecznémi zostały: naymnieyszey wiadomości nie mogli powziąć stroskani rodzice o swym ulubionym synie. *Liu* jego oyciec był niepocieszony z tey straty, a przywalony ciężarem dotkliwego smutku, umyślił oddalić się od swego domu, gdzie mu wszystko przypominało drogiego *Hi-eula*. U jednego ze swoich przyjaciół pożyczył pewną kwotę pieniędzy, w celu prowadzenia małego handlu z przyległemi po obu stronach okolicami miasta; pochlebiając sobie, iż w tych krótkich, lecz częstych wycieczkach, znaydzie nakoniec skarb utracony.

Zajęty jedynie myślą o swoim synie, małą czuł pociechę z zysków swojego handlu; prowadził go atoli przez lat pięć, nigdy się nie oddalając zbytecznie od domu; kędy po każdym roku wracał w jesieni. Nareszcie po tylu latach nie znaydując swojego syna i mając go już za straconego bez powrótu, gdy się widział przytém bezdzietnym, myślał nad sposobami uniknienia wspomnień rozdzierających jego serce: a że już znaczne zebrał mienie, przedsięwziął rozlegleyszy prowadzić handel w inney prowincyi.

W drodze przyłączył się do jednego bogatego kupca, który poznawszy jego biegłość w handlu, znacznie mu dopomógł. I tak powoli chęć wzbo-

gacenia się usunęła jego troski i wróciła go znowu na łono pokoju.

Zaledwo oba przybyli do prowincyi *Chan-si*, wnet im wszystko naypomyślniey poszło. Odbyt towarow mieli bardzo rychły, a zysk przechodzący nadzieje. Odwleczona wypłata z powodu dwóch lat suszy, i panującego w tym kraju głodu, przytém dosyć przeciągła niemoc, którą *Liu* był złożony, zatrzymały go przez lat trzy w tey prowincyi: lecz, za odzyskaniem zdrowia i pieniędzy, udał się bez odwłoki na powrót do domu.

Gdy w ciągu podróży raz się zatrzymał w okolicy *Tchin-lieou*, dla wypoczynku po znoju i pokrzepienia sił utrudzonych,postrzegł opodal drogi na murawie pas z błękitney materyi, w kształcie długiey i wązkiey sakiewki, jakim zwykli Chińczykowie opasywać swe szaty, i gdzie się pieniądze chowają: podnosząc go uczuł znaczny ciężar: oddala się zatem na stronę, otwiera sakiewkę i znayduje w niey około dwóch set *taëlów* krajowey monety.

Na widok tego skarbu następne uczynił uwagi. Wszak błogie me szczęście oddaje mi w ręce tę summę, mógłbym ją zatrzymać przy sobie i rozrządzić nią podług mey woli, bez obawy żadnego smutnego ztąd następstwa. Jednakże ów, co ją stracił, w chwili, gdy się postrzeże, o jakże się zmartwi, jak śpiesznie tu szukać jey wróci. Czyżem nie słyszał powiadających, iż nasi przodkowie, znalezionych trafem pieniędzy tknąć nawet nie śmieli, a jeśli je brali, to tylko w tym celu, aby oddać właścicielowi. Ten czyn pięknym mi się wydaje, chcę go naśladować, zwłaszcza, że już jestem w wieku, i nie mam dziedzica. Bo i cóż-

bym uczynił z pieniędzy, nieprawą nabytych koleją.

Natychmiast wraca na mieysce, gdzie pas ten znalazł, i przez cały dzień tam czeka, aż nim kto po niego nie przyydzie. Lecz gdy się nikt nie ukazał dnia tego, nazajutrz w dalszą puścił się podróż.

Po pięciodniowém jechaniu, nad wieczor przybywa do *Nan-sou-tcheou*; tam staje w zajezdnym domu, gdzie wielu kupców na nocleg się zjechało. W ciągu rozmowy, gdy wypadło mówić o przygodach w handlu, jeden z towarzystwa rzecze: zaledwo pięć dni temu nazad, jak jadąc z *Tchin-lieou* zgubiłem dwieście *taëlów*, które w pasie miałem schowane. Chcąc bowiem snem trochę zasilić znużone członki, odjąłem pas z siebie, i przyległem pod cieniem drzew na zieloney darni, gdy nagle tętęt koni słyszeć mi się daje, podnoszę z ziemi głowę i postrzegam na drodze kurzawę. Byłto przejeżdżający tędy mandaryn z całą swoją świtą. Zrywam się więc rychło i nayskwapliwiey oddalam z tego mieysca w obawie, aby nie być celem jego naygrawania ; lecz w pośpiechu zapominam wziąć moich pieniędzy. Teraz dopiéro aż przy zachodzie słońca, zdeymując moje odzienie postrzegam się, żem poniósł tę szkodę. Wiedząc zaś dobrze, iż mieysce, kędy pas móy zostawiłem, przemijane jest przez tylu podróżnych, za rzecz próżną osądziłem, opoźniać mą drogę kilką dniami, przez łożenie czasu na wrócenie się po to, czego zapewnebym nie znalazł.

Gdy każdy nad jego ubolewał przygodą, *Liu* wręcz go zapytał o nazwisko i mieysce pobytu. Uniżony sługa odpowiedział kupiec: miano me *Tchin*, a mieszkam w *Yang-tcheou*, gdzie mam moję kramę

i dosyć dobry skład towarów. Lecz godziż mi się takoż uczynić mu zapytanie, z kim mam honor rozmawiać? *Liu* wymienił swoje nazwisko, powiedział, iż był z miasta *Vou-si*, przytém dodał: ponieważ droga prowadząca mię do domu, naykrótszą się zdaje przez *Yang Tcheou*, więc jeśli się mu podoba, chętniebym towarzyszył jemu aż do samego mieszkania.

Tchin równie grzeczną dał odpowiedź. Z naywiększą ochotą, rzekł, będziemy odbywali razem tę podróż, a znaydując w nim miłego towarzysza, szczęśliwym się mieni. W dniu następnym za pierwszém świtaniem, oba społem wyruszyli. Droga krótko się ciągnęła, i niebawnie stanęli w *Yang tcheou*.

Po zwykłych grzecznościach, *Tchin* zaprosił *Liu* do swego domu, i rozkazał przygotować, nie wykwintną, ale smaczną wieczerzę. Natenczas *Liu* skierował rozmowę do straconych w *Tchin-lieou* pieniędzy. Jakiego koloru, rzekł, był pas, zawierający zgubioną summę, i czém się odznaczał? Koloru błękitnego, *Tchin* odpowiedział, a za godło na jednym jego końcu wyszyta była haftem z białego jedwabiu, cyfra mojego imienia.

To objaśnienie nie dawało mieysca żadney wątpliwości. *Liu* wykrzyknął z radości. Jeślim ci czynił zapytania, ztąd to pochodziło, iż, przejeżdżając przez *Tchin-lieou* pas twóy znalazłem, który zgubiłeś. I ukazując mu go w teyże chwili, patrz, rzecze, nie jestże ten sam? Tak, to ten sam, zawołał *Tchin*, a *Liu*, trzymający go dotąd w swych ręku, oddał z uszanowaniem prawemu panu.

Tchin pełen wdzięczności, mocno nań nale-

gał o przyjęcie połowy summy, którą, jako dar mu wręczył przed chwilą, lecz wszystkie jego prośby były nadaremne. *Liu* nic nie chciał przy sobie zatrzymać.

Jakież dzięki złożyć ci winienem? rzekł *Tchin* w uniesieniu. Gdzie znaleźć podobną szlachetność i wiarę? rozkazał zatém wielką sprawić ucztę, podczas którey, przy wzajemnych oświadczeniach nayszczerszey przyjaźni, puhary w częstey krążyły kolei.

Tchin mówił sam w sobie: gdzie spotkać dzisiay człowieka tak poczciwego, jak *Liu*? Ludzie podobnego charakteru, bardzo rzadko widzieć się dają. Ale cóż, miałżebym otrzymać tak wielkie dobrodzieystwo, bez wywiązania się z obowiązków, jakie wdzięczność natchnąć powinna! Mam córkę, niech więc związek bliżey mię połączy z tym wspaniałomyślnym człowiekiem. Lecz mali on syna? nie wiém. Luby przyjacielu, rzekł po krótkim namyśle: w jakim teraz twóy syn może być wieku?

Na to pytanie *Liu* łzy potoczyły się z oczu. Niestety! odpowié z westchnieniem, jednego tylko miałem syna, który mi nieskończenie był drogi, lecz.... już siódmy rok mija, jak to dziecię, wyszedłszy z domu, dla przypatrzenia się przechodzącey ulicą processyi, znikło — i od tego czasu naymnieyszey o niém nie powziąłem wiadomości. Nadomiar zaś mojey niedoli, więcey nié mam potomstwa.

Podczas tego opowiadania *Tchin* zdawał się być nieco zamyślonym; potem głos zabierając, móy bracie i dobroczyńco, rzecze, ile lat mieć mogło to drogie dziecię w tę porę, kiedyś je postradał?—

Rok szósty, *Liu* na to.— Jakie mu było imie i jakiey postawy?—Nazywaliśmy go *Hi-eul*, wyszedł z niebezpieczney ospy, i żadnego jey śladu nie zostało na jego twarzy. Płeć miał białą i kwitnącą.

Te szczegóły wielką w *Tchinie* sprawiły radość, którey nie w stanie był stłumić w sobie. W oczach i w całém obliczu jego, można ją było czytać. Zawołał natychmiast służącego i powiedział mu kilka wyrazów na ucho; ów dawszy znak skinieniem głowy że śpieszy wykonać pańskie rozkazy, wgłąb wewnętrznych poszedł komnat domu.

Liu, baczny na wszystko, rozważał cel zadawanych sobie pytań. Wesołość,jasniejąca na czele gospodarza,nie uszła jego oka: ztąd więc tworzył rozmaite domysły, i gdy niemi był zajęty, w tém spostrzega wchodzącego młodzieńca,około lat trzynastu. Ubrany był w suknią długą, skromną, lecz porządną: postać zgrabna, ułożenie i rysy twarzy szlachetne, brwi czarne, oczy żywe i przenikające,ściągając spóyrzenia *Liu*,serce mu razem ujęły.

Skoro młodzieniec uyrzał siedzącego u stołu cudzoziemca, uczynił głęboki ukłon i rzekł kilka grzecznych wyrazów; potym naprzeciw *Tchin* skromnie stanąwszy: móy oycze, rzekł głosem przeymującym,kazałeś przyyść *Hi-eulowi*, oto jestem; cóż macie mi do rozkazania? Powiém ci to natychmiast, odparł *Tchin*, czekając na me zlecenia, stóy przy moim boku.

Imie *Hi-eul*,dane sobie przez młodzieńca,obudziło nowe domysły w zadumanym *Liu*. Tajemne jakieś wzruszenie, wstrząsało jego sercem. Lube wrażenie dziwną siłą natury w teyże chwili, kreśli mu obraz postradanego syna, jego wzrost, oblicze, i postawę. I widzi to wszystko w przed-

miocie,który przed sobą zważa. Tylko imie oyca *Tchinowi* dane, miesza jego wnioski i przytłumiają iskrę nadziei. Chciałby natychmiast widzieć rozstrzygniętą niepewność. Atoli nie przyzwoicie byłoby się pytać: czy rzeczywiście ten urodziwy młodzian był synem gospodarza lub nie: mógł nim być w istocie; bo nic w tém nadzwyczaynego nie znaydował, że dwoje dzieci noszą jednakie imiona i są zupełnie do siebie podobne, chociaż obce.

Liu, zatopiony w tych uwagach, nie myślał wcale o wybornych potrawach, zastawionych przed sobą. Niespokoyne zdumienie malowało się na jego twarzy. Skryty pociąg przywiązywał go do tego młodzieńca; oczy jego bez przerwy weń były wlepione i żadną miarą nie mógł ich od niego oderwać. *Hi-eul* ze swojey strony,pomimo bojaźliwości i skromności swojego wieku,wzrok niewzruszony na *Liu* trzymał: i rzekłbyś, że natura odkrywała mu w tey chwili, że to był jego oyciec.

Naostatek *Liu* nie mogąc dłużey taić poruszeń swojego serca, nagle przerwał milczenie, zapytując *Tchina*, czy ten młodzieniec był prawdziwie jego synem? Nie mnie on, *Tchin* odpowié, winien swe życie, chociaż go za syna własnego uważam. Lat siedm temu nazad, jak nieznany człowiek, przejeżdżający przez tuteysze miasto, prowadząc to dziecię za rękę, zbliżył się do mnie przypadkiem, i prosił mię, abym mu dopomógł w jego ostatniey potrzebie. Moja żona, mówił, umarła, zostawując mi jedyne to dziecię; smutny stan moich okoliczności znaglił mię, kray móy na czas niejaki porzucić, a udać się do *Hoai ngan*, gdzie jeden móy krewny mieszka, u którego spodziewam się

otrzymać dostateczną kwotę pieniędzy na załatwienie wszystkich mych potrzeb, i do postawienia mię w możności uczciwego nadal utrzymania. Nie mam zaczém daley ciągnąć mą drogę do tego miasta, czy nie znalazłbym w nim tyle litości, abyś mi pożyczył trzysta taëlów? Oddam ci je naywierniey za moim powrótem, a za rękoymię mojego słowa,zostawiam ci w zakład to,co mi naydroższém jest w świecie, to jest: mojego jedynego syna. Wolałbym niebyć w *Hoai ngan*, niż nie powrócić po te ukochane dziecię.

To zaufanie mocno mię tknęło, wyliczyłem mu więc żądaną summę. Przy odjezdzie zalewał się łzami, okazując, iż rozdział z synem, tak bolesnym był dla niego. Lecz to mnie bardzo dziwiło, że dziecię zdało się nie czuć nad tém oddaleniem: jakoż nie widząc wracającego się tego człowieka, wpadłem na podeyrzenie, które się ziściło. Wołam do siebie dziecię, i z różnych pytań, jemu zadawanych, dowiaduję się, że rodem był z miasta *Vou si;* że dnia jednego widząc przechodzącą processyą na ulicy, oddalił się od domu; a gdy się znaydował w ciżbie ludu, ów człowiek, mniemany jego oyciec, uwiódł go na stronę i porwał z sobą. Powiedział mi przytém imie swojego oyca i matki; a to imie familii jest właśnie twoje. Zrozumiałem zaraz, że to biédne dziecię wpadło w ręce jakiegoś oszusta: litowałem się nad niém: lecz odkąd umiał pozyskać me serce, zastąpiłem mu mieysce oyca, i jak z własnym obchodziłem się synem.

Częstokroć przychodziło mi na myśl,abym odbył umyślną podróż do *Vou si*,dla powzięcia wiadomości o jego rodzinie; lecz zawsze jakieś zatru-

dnienia nieodbite stawały mi na zawadzie i wraz odwlekały uskutecznienie mojego zamiaru, którego nie zrzekłem się jeszcze atoli. Na szczęście przed kilką chwilami mówiłeś mi o twoim synie. Słowa wyrzeczone przez ciebie obudziły me myśli. Z dziwnego doniesienia, które o nim powziąłem i z tego, cóś mi powiedział, nie płonniem się domyślił, że on jest tym postradanym synem. Kazałem przeto przyyść tu temu dziecku, aby się przekonać, czyli go poznasz, jeśliś jego oycem.

Na te słowa *Hieul* zaczął płakać z radości, a jego rozrzewnienie łzy obfite z oczu *Liu* wycisnęło. Osobliwszy znak, rzecze, da go nam lepiéy poznać: cokolwiek niżey od kolana mieć powinien czarną plamkę na prawey nodze, co jest skutkiem pewnego życzenia jego matki, kiedy była brzemienną. *Hieul* odsłania natychmiast kolano i ukazuje pod niém znak wymieniony: *Liu* postrzegając go, rzuca się na szyję dziecka, uściska go, i zamyka w swoich objęciach. Synu móy, wykrzyknął, synu móy drogi! co za rozkosz dla oyca twojego odzyskać cię po tak długiey nieobecności! Tu umilkł: bo więcey mówić nie zdołał.

Łowić rybę na dnie wody jest rzecz przyiemna: lecz skarb utracić, który się w ręku trzymało, i znowu go odzyskać, jest rozkosz inna, bez porównania od tamtey większa. O błogi dniu uroczystości, w którym się wznawia tak słodka znajomość. Oba jeszcze się boją, aby to nie było łudzącém marzeniem snu zwodniczego, że się trzymają we wzajemném uściśnieniu.

W tych urocznych chwilach, można sobie wystawić, na jakie uniesienia radości oyciec i syn się wylali. Po tysiącznych nayczulszych uściskach,

Liu wyrwawszy się z objęcia swojego syna, poszedł rzucić się do nóg *Tchinowi*: jakąż wdzięczność jestem ci dłużny, rzekł mu, żeś przyjął i wychował z taką dobrocią tę drogą cząstkę mnie samego! Bez ciebie bylibyśmy kiedykolwiek zjednoczeni?

Miły móy przyjacielu, odparł *Tchin* podnosząc go z ziemi, twóy czyn szlachetny, któryś wykonał wracając mi dwieście zgubionych *taëlów*, poruszył nieba. Niebo cię wwiodło w me progi, gdzie znalazłeś skarb postradany, który po tyloletnich wyszukiwaniach bez skutku za niepowrótny sądziłeś może. Teraz, gdy się dowiaduję, że to ładne dziecko jest twoim synem, żal mi mocno, żem więcey jeszcze nie okazywał ku niemu przychylności mojey. Padniy mu do nóg, móy synu, rzekł *Liu* i podziękuy twojemu wspaniałemu dobroczyńcy.

Tchin chciał wzajemnie oddać głębokie ukłony, za okazane sobie uszanowanie, lecz *Liu* zmieszany tym zbytkiem jego grzeczności, prędko się ku niemu przybliżył i nie dozwolił mu nawet ani głowy uchylić. Gdy się te ceremonie skończyły, usiedli znowu do stołu, a z rozkazu *Tchina*, *Hieul* zajął mieysce przy boku *Liu* swojego oyca.

Na tenczas *Tchin* głos zabierając, móy bracie, rzekł do *Liu*, (bo tém imieniem będę cię odtąd nazywał) mam dwónastoletnią córkę; móy zamiar jest oddać ją twojemu synowi w małżeństwo i zjednoczyć nas przez ten związek ściśleyszemi ogniwy. To życzenie z taką wymówił otwartością, iż *Liu* za rzecz nieprzyzwoitą uznał wymawiać się od tego szczęścia, jakby mu zwykła grzeczność uczynić kazała. Przyiął więc tę odezwę uprzeymie, i naychętniey na nią się zgodził.

Gdy już była spoźniona doba nocy, powstali od stołu i udali się na spoczynek. *Hieul* poszedł do sypialni gościnney,przeznaczoney dla jego oyca. Każdy łatwo zgadnie, jaka była treść ich rozmowy; tysiąc przyjemnych, słodkich, czułych rzeczy, powiedzieli sobie nawzajem i całą noc prawie bezsennie spędzili.

W dniu następnym *Liu* chciał pożegnać swojego gospodarza, lecz się nie mógł oprzeć jego naleganiu, aby jeszcze pozostał. *Tchin* rozkazał drugą sporządzić ucztę, w którey nic nie oszczędzano, aby godnie uczęstować przyszłego teścia swojey córki i nowego zięcia, a przez to pocieszyć się nieco z ich odjazdu: liczne spełniono kielichy,a radość nayczystsza, panująca na wszystkich czołach,duszą była biesiady.

Przy końcu uczty *Tchin* dobywa paczek ze dwódziestą *taëlami* i spoglądając na *Liu*, móy luby zięć, rzecze, przez ciąg bawienia u mnie cierpiał może cokolwiek pomimo mey woli i wiedzy. Niech więc ten dar mały służy mu za znak mego ku niemu przywiązania,nim tego oczewistszych niedozna dowodów; zresztą żadne odmówienie mieysca tu mieć nie może.

Jako? odpowié*Lin*,wówczas kiedy mię zaszczycasz tak chlubném dla mojego domu połączeniem się, kiedy ja winienem, stosownie do zwyczaju nieść ci godowe dary za mojego syna, od których ta tylko uwalnia mię okoliczność, że jestem w podróży; w ówczas, mówię, ty mię osypujesz twojemi datkami; to nadto: nie mogę ich przyiąć, zawstydzasz mię; nie,nie zezwalam na ich przyjęcie.

Ale pozwól! *Tchin* przerywa, któżby myślał taką fraszkę ofiarować tobie? Dla mojego zięcia,

nie zaś dla teścia moiey córki żądam uczynić ten dar mały. Jedném słowem, dłuższy opór, wezmę za znak niewątpliwy, iż ci się niepodoba to spowinowacenie.

Liu widział się w konieczności uledz naleganiom *Tchina*, a znayduiąc, że wszelka wymówka byłaby daremną, przyiął z pokorą dary. Skinął na syna, ten powstał od stołu i złożył hołd nayglębszego dla *Tchina* uszanowania. Za to, com ci dał teraz, *Tchin* rzecze, uściskaiąc go czule, nie wartem żadney podzięki. *Hi eul* poszedł potém wgłąb innych komnat domu, aby oświadczyć swą wdzięczność swey teści. Cały dzień spłynął na biesiadzie i zabawach; a gdy noc czarne rozciągnęła zasłony, wówczas dopiéro poszli w snu łonie dzienną wesołość utopić.

Liu znalazłszy się w swoiey komnacie, pogrążył się cały w dumaniach nad tém zdarzeniem, tak dziwną snuiącym się nicią. Wyznać należy, mówił sam do siebie, iż oddaiąc dwieście znalezionych *taëlów*, czyn miły niebu dopełniłem, ponieważ za niego tak wielka spotkała mię nagroda. Cóż zrówna szczęściu moiemu w tey chwili? znayduię syna moiego i świetny związek połącza dóm móy z rodziną szlachetnego *Tchina*. To szczęście iest nad wszelkie szczęście: złote kwiaty na piękną materyą iedwabiu sypane, mniey maią blasku, iak ta roskosz, którą teraz przepełniona ma dusza. Jakież dzięki,co za wdzięczność za tyle względów, za tyle dobroci!Oto dwadzieścia *taëlów* świeżo mi danych przez *Tchina*, który wkrótce powinowatym mym będzie. Mógłżebym lepiey ich użyć, iak poświęcaiąc na wsparcie kilku cnotliwych bonzów? Byłoby to rzucić ie na błogosławioną ziemię.

Nazajutrz po dobrem śniadaniu, czynią przybory do drogi i rozstają się ze swym uprzeymym gospodarzem. Potém dążą do portu, gdzie sobie statek naymują. Po półgodzinney żegludze, gdy płynąc brzegiem zbliżali się do uyścia jedney rzeki, nagle huk pomieszany słyszeć im się daje. Silniey więc wiosłami robić poczęto, pracują przeciw pędowi wody, którey rozkołysana powierzchnia pienistą okryła się falą—płyną—lecz co za widok uderza ich oczy. Ogromne czółno, przeładowane przeprawującemi się przez rzekę, już tonąć zaczyna. Głosy nieszcześliwych, „ratuycie nas! ratuycie!" rozlegały się smutnie dokoła. Mieszkańcy sąsiedni brzegom, przerażeni tą opłakaną przygodą, krzyczeli, aby jak nayrychley z przeciwney strony podawano małe łodzie, i aby śpieszono z ocaleniem ofiar niechybney zguby, walczących uporczywie, lecz napróżno, z prądem wody. Ale cóż: łodziarze, ludzie nieużyci i goniący tylko za zyskiem, domagali się o nagrodę, bez którey ani wiosłem poruszyć nie chcieli.

Podczas tego sporu nadpływa statek *Liu*. Skoro się tylko dowiedział o wszystkiém, rzekł sam do siebie: ocalić życie człowiekowi, jest dziełem świętszem i większey zasługi, niż zdobić świątynie i wspierać bonzów. Przeznaczmy te dwadzieścia taëlów na ten czyn chwalebny: dopomóżmy biednym tonącym ludziom. I natychmiast wykrzyknął: dwadzieścia *taëlów* z rąk moich będą nagrodą tym, którzy pośpieszą z łodzią na ratunek ginącym.

Na tę odezwę cała prawie rzeka pokryła się łodziami. Niektórzy nawet z widzów na brzegu, umiejący pływać, rzucają się do wody, i w jedney

chwili wszyscy uratowanymi zostają od zatonienia. *Liu* nayczystszą poił się radością z dobrego uczynku, i oddał niezwłócznie obiecane pieniądze.

Ci nieszczęśliwi wydźwignieni z toni, wydarci z bram śmierci, przychodzą oświadczyć swą wdzięczność wybawcy wspaniałomyślnemu. Jeden z ich gromady, spoglądając na *Liu* przez chwilę, nagle zawołał: Co widzę? o Boże! to móy brat starszy; jakiż traf szczęśliwy daje mi cię znaleźć tutay? *Liu yu* obróciwszy się w tę stronę, skąd krzyk usłyszał, patrząc ledwo oczom swoim wierzy: poznał bowiem swego naymłodszego brata *Liu tchin*. Naówczas w uniesieniu radości, i odchodząc prawie od zmysłów, klaśnie w dłonie; o cuda! wykrzyknął, niebo mię tu wiodło po to jedynie, abym ocalił dni mojemu bratu. Natychmiast wyciąga ku niemu ręce, usciska, wiedzie do swojey łodzi, pomaga mu zwlekać odzienie przemokłe zupełnie i na mieyscu ich inne mu daje.

Liu tchin, odetchnąwszy nieco, nie zaniedbał dopełnić obowiązków, grzecznością przepisanych ku starszemu bratu: ów zaś odpowiedziawszy mu, jak należało, woła *Hi eula*, znaydującego się w izbie statku, ażeby pozdrowił swojego stryja: potém opowiedział mu wszystkie swoje przypadki, które zdziwiły *Liu tchina* do naywyższego stopnia. Lecz naucz mię nakoniec, rzekł mu *Liu yu*, co cię zaprowadziło do tego kraju?

Rzecz niepodobna, odpowie *Liu tchin*, zamknąć we dwóch słowach przyczynę mojey podróży. Od trzech lat nieobecności twey w domu, przyniesiono nam smutną wiadomość, żeś umarł z choroby w prowincyi *Chan si*. Nasz brat średni, jako głowa familii w twojey niebytności, czynił zabiegi dla

powzięcia pewnieyszych wieści, i nareszcie ogłosił, iż rzecz ta nie podpadała wątpliwości. To było pociskiem piorunu dla moiey bratowey; nieutulona w żalu, wzięła natychmiast na się grubą żałobę. Co do mnie, zawsze jey powiadałem, że te pogłoski mogą być płonne, i że wcale im nie wierzę.

W kilka dni potém, brat średni nalegał na moję bratowę, aby myślała o powtórném małżeństwie: lecz ona zawsze stale odrzucała podobną radę. Naostatek zobowiązała mię, żem puścił się w podróż do *Chan si*, abym się przeświadczył o rzeczywistości doniesienia na samémże mieyscu: i kiedy naymniey się spodziewam, już już ginący w głębiach wody, spotykam mojego drogiego brata: ty mi ocalasz życie: opiekuńcze nieba! jakże dziwne jest wasze zrządzenie! Lecz wierzay mi, bracie móy luby, nié mamy chwili do stracenia; śpiesz się, śpiesz do domu, ukoić żony twojey strapienia. Ofiara prześladowań, ulegnie może pod ciężarem smutku i przemocy, naymnieysza zwłoka niewynagrodzoną przyniesie ci stratę.

Liu yu zadrżał na te słowa: przyzywa do siebie pana statku, i chociaż bardzo już było poźno, kazał mu rozwinąć żagle i płynąć przez noc całą.

Stęsknione serce dążyło do celu jak strzała: łodź się toczy po wód płaszczyźnie w rączszym jeszcze pośpiechu, niż czółenek na warstacie tkacza, kończącego swą robotę.

Gdy się to dzieje, tymczasem *Ouang*, *Liu yu* żona, nayczarnieyszym karmiła się smutkiem. Tysiąc powodów miała niewierzyć wieściom o śmierci swojego męża; lecz *Liu pao*, który przez tę śmierć mniemaną stawał się naczelnikiem i głową

familii, uręczał ją nayrzetelniey, iż nakoniec dała sobie to wmówić, i wzięła żałobne szaty.

Liu pao miał złe serce i zdolnym był naynikczemnieyszego dopuścić się czynu. Ja nie wątpię, mawiał, że móy brat starszy nie żyje; a więc jestem panem. Moja bratowa jest młoda i ładna; jey krewni daleko, i ona nie może wzywać ich pomocy: cóż mi przeszkadza znaglić ją do weyścia w powtórne związki? tak być musi koniecznie, i to jak nayrychley: ztąd pieniądze będę miał w zysku.

Natychmiast się zwierza ze swemi zamiarami swojey żonie *Yang*, i zaleca jey użyć biegłey pośredniczki, któraby skłoniła *Ouang* do nowego zamążpóyścia: lecz ta,rzadkich cnót kobiéta,będąc daleką od podobnego postanowienia, odrzuciła rady ze wzgardą: przysięgła nawet, iż chce pozostać wdową, aby tym stanem uczcić pamięć ukochanego męża. Jey szwagier, *Liu tchin*, utwierdzał ją w tém przedsięwzięciu;a tak wszystkie użyte podstępy nie powzięły żadnego skutku. Ze zaś jey częstokroć ta myśl przychodziła, iż może mąż znayduje się jeszcze w życiu. Potrzeba się przeświadczyć, nieraz powtarzała: wiadomości dochodzące zdaleka nayczęściey płonne bywają. Na samém tylko mieyscu można zbadać nam wątpliwą prawdę. Cóż czynić: sta mil przestrzeni nie małych wymaga trudów od podróżującego: wprawdzie to rzecz jest przyciężka; lecz to nic nie znaczy: znam dobrze serce *Liu tchina*,on się poświęci dla mnie, pojedzie do prowincyi *Chan si* i dowie się naypewniey: jestemli w istocie wdową, a gdy to nieszczęście nieodzowne przeznaczyły dla mnie wyroki, przyniesie mi przynaymniey drogie popioły ukochanego męża.

Liu-tchin był proszony o odbycie tey drogi, i wyjechał. Jego oddalenie się zuchwalszym jeszcze bardziey *Liu pao* uczyniło. Nalegania jego były coraz natarczywsze. Wreszcie przez kilka dni w grze zapędzony, i zawsze nieszczęśliwie w niey wychodząc, nie widział zniskąd sposobu dostania pieniędzy, dla niesienia swoim przeciwnikom odwetu. Gdy tak był skłopotany, napotkał jakiegoś kupca z *Kiang-si*, który świeżo utracił swą żonę, i szukał inney dla siebie. *Liu-pao* pochwycił podatną złośliwym swoim zamiarom zręczność, i nastręczył mu swoję bratową. Kupiec chętnie przyjął oświadczenie: czynił z tém wszystkiém wybadywania potajemne: czy ta, którą mu zalecano, była młodą i ładną; a skoro tylko o tém się zapewnił, nie tracąc na próżno czasu, wyliczył trzydzieści *taëlów* na ukończenie sprawy.

Liu pao, otrzymawszy tę summę, winienem cię ostrzedz, rzekł do kupca, że moja bratowa jest dumna, wyniosła, i nieźmierna szkrupulatka; będzie wiele czyniła trudności, mając dóm porzucać, i nie łatwo ją do tego nakłonić zdołasz. Otoż więc słuchay, co masz czynić. Tego wieczora na wstępie nocy, miey w pogotowiu lektykę, ozdobioną podług zwyczaju, i silnych dzwigaczów: za danym lekkim hasłem staw się przed naszą bramą. Dziewica z żałobnym welumem jeśli ci się ukaże, to moja bratowa, nie mów jey, ani pół wyrazu, i nie słuchay nic, co ci będzie prawiła: lecz porwiy ją w pół ciała, wsadź do lektyki, prowadź jak nayrychley do swojego statku, i odpływay od brzegu z rozwiniętemi wszystkiemi żaglami. Ten sposob wielce się podobał kup-

cowi i wykonanie jego bardzo łatwém jemu się być zdało.

Zawarłszy tę umowę *Liu-pao* powraca do domu i aby bratowa nie dociekła uknutego zamiaru, umiał się przed nią ułożyć w postać skromną; lecz skoro ona odeszła, odkrył rzecz całą swey żonie, i okryślając *Ouang* pogardliwym gestem, potrzeba, rzecze, aby ten towar o dwóch nogach wyszedł z naszego domu, lecz jakby tego dokazać, to mię trochę czyni niespokoynym. Nie chciałbym atoli być obecnym tey scenie; tak więc wychodzę na chwil kilka, ty zaś pamiętay, iż o zmroku liczni ludzie przyydą do naszey bramy, porwą ją do lektyki ustrojoney ozdobnie, i uniosą na....

Chciał daley mówić, gdy nagle posłyszany szelest nakazał mu milczenie. Była to bratowa właśnie natenczas przechodząca mimo okien komnaty. *Liu-pao* skwapliwie wyszedł pobocznemi drzwiami, a pośpiech, z jakim się oddalał, nie dał mu dokończyć opowiadania, i okoliczność o żałobnym welumie opuszczoną została. Bez wątpienia czuyna opatrzność nieba to sprawiła, iż o niey nic nie namienił.

Ouang łatwo postrzegła, że uczyniony przez nię szelest za oknem zmusił do nągłego przerwania rozmowy *Liu-pao.* Ton zaś jego głosu dowodził, iż miał jeszcze cóś do mówienia: lecz ona dosyć usłyszała; bo poznawszy z jego postawy, gdy wszedł do domu, że miał jakąś tajemnicę powierzyć swey żonie, zmyślając obojętność wyszła, i skrycie nachyliwszy ucho do okna, wyraźnie usłyszała te słowa: *Porwą ją i w lektyce uniosą.*

Te wyrazy wzmocniły straszliwie jey podeyrzenie. Weszła do komnaty; i zbliżając się do *Yang* wyjawiła jey naprzód swoję niespokoyność. Bratowo, rzekła do niey potém, widzisz przed sobą nieszczęśliwą wdowę, połączoną z tobą nayświętszém ogniwem przyjaźni, strzeżoney dotąd niezachwianą wiernością. Na tę więc zażyłą przyjaźń zaklinam ciebie, abyś mi otwarcie i szczerze wyznała: czy móy szwagier trwa jeszcze uporczywie w swoim zamiarze, znaglenia mię do weyścia w nowe związki, któreby tylko hańbą mię okryły.

Na tę mowę *Yang* zdała się być nieco pomieszaną: żywy rumieniec zjawiony na twarzy poświadczał źle tajoną skrytość: lecz po chwili ochłonąwszy trochę i przybierając poważną postawę: O czémże to myślisz ma siostro, rzekła do niey, i co za domysły tworzysz w twey głowie? Jeśli się troszczysz o to, aby cię nie wydano za mąż, płonna twa trwoga, mniemaszli, iż kogo stan twóy obchodzi? Ha! i pocóż się samey rzucać w wodę, pierwiey nim skutek wpadnie w niebezpieczeństwo zatonienia?

Skoro *Ouang* usłyszała przysłowie o statku, jeszcze lepiey pojęła tajemnicę swojego szwagra. Natychmiast puściła wolny tok łzom swoim, i aby swobodniey się wylać na udręczające cierpienie, zamknęła się w swojey komnacie; tam jękiem i westchnieniami przerywanym głosem, tak rozwodziła swe skargi. Nieszczęśliwa! nie wiém o losie mojego męża. *Liu-tchin*, móy szwagier, móy jedyny przyjaciel, na którym polegać mogłam, jest w drodze. Móy oyciec, moja matka, i cała ma rodzina w odległym zostaje kraju. Je-

śli zechcą nade mną użyć gwałtu, jakże ich uwiadomię o mojey niedoli? Od sąsiadów nie śmiém wyglądać żadney pomocy. *Liu-pao* stał się strasznym w całym tym kwartale, i nikomu nie tayno, że jest gotów nayniegodnieyszey dokonać zbrodni. Biada mi nieszczęśliwey! nie zdołam uniknąć nastawionych na mnie sideł: a jeśli nie wpadnę dzisiay, ta koley spotka mię jutro, a gdy i jutro się przewlecze, udział móy smutny w krótkim czasie nie może mię minąć. Zważywszy wszystko należycie, pozostaje mi tylko samey przeciąć pasmem cierpień osnute życie: tak, umrzyymy raz lepiey, niźli tysiącem konać śmierci, nie znaydując nigdy końca katuszy. Bo i czémże inném jest me życie, jeśli nie przewlekłym, udręczającym zgonem?

Tak więc skłoniła się do okropnego zamysłu, którego wykonanie do wieczora odwlekła. Skoro tylko blask dzienny usunął się z poziomu, a czarna nocy pomroka osiadła górne nieba sklepienie, *Ouang* oddala się do swojey komnaty, i w niey się zamyka: potém, wziąwszy sznurek, przywiązuje go jednym końcem do tkwiącego w suficie kruka, a z drugiey robi pomykającą się petlę: zbliża zédel, wstępuje nań, układa skromnie u dołu około nóg swą suknię: potém wykrzyka: „Naywyższa istności *Tienie*, pomściy się za mnie!” Po tych słowach głęboko kilkakrotnie westchnęła; zdeymuje i odrzuca swóy welum na stronę. Nakoniec podnosi głowę, nakłada petlę na szyję, nogą potrącony zédel upada..., i już zawisła w powietrzu.

Stało się, nieszczęśliwa legła ofiarą rozpaczy. Lecz cóż się to dzieje? sznurek, chociaż dość gru-

by, pęka, i *Ouang* upada na ziemię wpół umarła. Ten upadek i konwulsyyne miotania się walczącey ze śmiercią, wielki łoskot sprawiły. Gdy to *Yang* posłyszała, przybiega do komnaty bratowey, lecz znalazłszy drzwi zamknięte, mniemała, że w tém jakiś podstęp się kryje. Porywa śpiesznie zaporę, odsuwa ją, i drzwi naściężay roztwiera. Za wniyściem do komnaty ciemney dokoła uwikłała swe nogi w odzieniu *Ouang*, chce stąpić daley, lecz się chwieje i na nię upada; tym wywrotem zerwany z jey głowy welum ulata daleko. Przerażona trwogą na kilka chwil omdlewa. Lecz wkrótce zmysły odzyskuje, powstaje i śpiesznie wybiega po lampę. Za przyniesieniem światła, znayduje *Ouang* rozciągnioną na ziemi bez czucia i oddechu prawie: usta pełne piany, a szyja nadzwyczaynie ściśnięta sznurem. Rozwalnia więc natychmiast pomykającą się petlę.

W chwili, gdy chce inną dla niey przynieść pomoc, i usługę, słyszy lekkie do bramy domu kołatanie. Nie wątpi już wcale, że to był kupiec z *Kiang-si*, przychodzący po kupioną żonę. Skwapliwie ma wybiedz, aby go przyjąć i wprowadzić do komnaty, w którey tak straszny stał się wypadek. Pośpiech i należyta grzeczność wzbraniają jey ukazać się obcemu bez welumu: że zaś swojego naprędce znaleźć nie mogła, chwyta żałobny swojey bratowey *Ouang*, i nim się osłoniwszy wychodzi.

W samey rzeczy był to kupiec z *Kiang-si*, który się skrądał porwać obiecaną sobie panią. Za nim stała lektyka godowa, ozdobiona frężlami jedwabnemi, kutasami ze złota, girlandami i

bukietami kwiatów, pięknemi latarniami. Otaczali ją służący z gorejącemi pochodniami, z kupą muzyków na flecie i obojach. Cały ten orszak był uszykowany na ulicy i w naygłębszém zostawał milczeniu. Kupiec się od niego odłączył, i zapukał powoli do bramy: lecz znalazłszy ją tylko przymkniętą, wszedł do domu z kilką niosącymi pochodnie.

Skoro *Yang* się ukazała, kupiec, postrzegłszy u niey welum żałobny, umówione godło, i znaydując ją przytém piękną, ujęty powabami rysów jey twarzy i całey kibici, rzuca się na nię, jak zgłodniały jastrząb na małą ptaszynę. Za danym hasłem ludzie z jego świty przyskakują, porywają damę, i zamykają w lektyce, gotowey już na jey przyjęcie. Naprożno wołała: „Wyście się pomylili, nie mnie to szukano" huk kotłów i muzyki dał się słyszeć natychmiast, i głos niebogi zagłuszył. Tymczasem silni dźwigacze lektyki nie szli, lecz lecieli, unosząc zdobycz na statek.

Gwarliwa tłuszcza zbliża się do statku obcego człowieka. Pomyłka zrządzona żałobnym welumem sprawia niespodzianie małżeńskie gody. A gdy żona w obecności nowego męża głos swóy podnosi, zapewno nie na niebo się żali: własnego tylko obwinia męża, jemu złorzeczy, na niego się gniewa.

Tymczasem *Ouang*, staraniami swojey bratowey przywołana do życia, zaczęła się opamiętywać i powoli odzyskała zmysły. Głuszący wrzask, co się rozlegał u bramy domu, ponawia jey obawę, i do naywiększey niespokoyności przywodzi. Lecz skoro postrzegła, że huk kotłów, pomięszany z radośnemi okrzykami i trąb odgłosem, na-

gle wszczęty, co chwila słabiał, ustawał, i niknął, ośmieliła się po pewnym czasu przeciągu wyyść z komnaty i obaczyć, co się też w domu działo.

Gdy zawołała dwa lub trzykroć na bratową i zawsze na próżno; odgadła całą tajemnicę, że kupiec się pomylił i uprowadził nie tę, po którą przyszedł: nie mniey atoli się lękała smutnego następstwa, skoro *Liu-pao* zostanie o tym wypadku uwiadomionym. Zamknęła się przeto w w swojey komnacie, gdzie zbierała po ziemi porozrzucane swe spinki od włosów, zausznicziki, klamerki, i czarny welum, leżący przy ścianie. Potém chciała we śnie utulić swe troski i niepokoje; lecz ani na jednę chwilę przez noc całą zmrużyć ociężałych powiek nie była w stanie.

Na brzask poranku zrywa się z łoża bezsennością blada, umywa oblicze, i gdy je chce żałobnym welumem osłonić, którego daremno szuka, w tém słyszy zdumiona jakiś szelest u bramy: mocno w nię kołatano, donośny krzyk się rozlegał. Nuże! otwórzcie! Był to *Liu-pao*, którego głos poznała. Jey postanowieniem było, zostawić go za bramą i ani się odzywać nawet. Przeklinał, wołał, wrzeszczał, aż nareszcie zachrzypł ze złości i krzyku. Natenczas *Ouang* zbliżyła się do furtki, za którą stojąc, kto to stuka, rzekła zcicha, i kto tyle tu hałasu czynić się odważa? *Liu-pao*, poznając dokładnie głos *Ouang*, stanął osłupiały, a zwłaszcza, że ona mu nawet nie chciała otworzyć. Użył więc podstępu, który się jemu wybornie udał: Bratowo, rzecze, niosę ci dobrą i szczęśliwą wiadomość! *Liu-tchin* móy brat młodszy powrócił, a twóy mąż jest zdrów zupełnie. Otwórzno prędko.

Na te słowa powrótu *Liu-tchina*, *Ouang* bieży pochwycić czarny welum, zostawiony przez *Yang*; wraca z szybkim pośpiechem, i otwiera z niecierpliwością: lecz naprożno jey oczy szukają lubego *Liu-tchina*. Jeden tylko *Liu-pao* stał przed nią. Ten wszedł naprzód do swojey komnaty; ale nie znaydując tam swey żony i gdy postrzegł przytém czarny welum na głowie bratowey, utwierdził się w swoich domysłach. Nakoniec zapieniony od gniewu wykrzyknął: No! gdzież jest twa siostra? Ty lepiey ode mnie powinieneś to wiedzieć, odpowiedziała *Ouang*, ponieważ sam byłeś sprężyną tey śliczney intrygi. Ależ mi powiedz, przerwał *Liu-pao*, dla czego nie nosisz białego welumu? albożeś już zrzuciła żałobę? *Ouang* miała upodobanie opowiedzieć mu cały ciąg wydarzeń, podczas jego niebytności dokonany.

Zaledwo skończyła opowiadanie, gdy *Liu-pao* ciężko uderza się w piersi i na wszystkie strony miota się w rozpaczy: lecz powoli odzyskując przytomność; mam jeszcze środek wybrnienia z toni grożących mi nieszczęść i hańby, rzekł sam do siebie. Sprzedaymy tę bratową: za wzięte z tego targu pieniądze, kupię sobie inną żonę, i nikt nie będzie wiedział, że byłem tyle nieszczęśliwy, iż własną zaprzedałem żonę. Całą noc poprzedzającą grając z rozpustnemi kolegami stracił te trzydzieści *taëlów*, wziętych od kupca z *Kiang-si*, który już był daleko ze swoją nową żoną.

Gotował się już wyyść z domu dla dokonania ułożoney sprawy, gdy nagle postrzega przed bramą pięciu ludzi, dążących do niey skwapliwie. Był to brat jego naystarszy *Liu-yu*, brat

naymłodszy *Liu-tchin*, synowiec *Hieul* i dway służący, którzy nieśli podróżne paki. *Liu-pao*, zmieszany tym widokiem, i nie śmiejąc stanąć przed ich obecnością, wymyka się tylnemi drzwiami, i niknie, jak błyskawica.

Ouang w uniesieniu radości wybiega na spotkanie męża. Lecz jakiż zbytek rozkoszy przepełnił jey serce, gdy uyrzała swojego syna, którego zaledwo poznała, tak się odmienił, tak urosł, tak wyładniał! Boże! przez jakąż to błogą koley, rzekła, przywiodłeś tu ukochanego syna? syna, którego stratę tylą opłakałam łzami.

Liu-yu po szczegółach okryślił jey tok swoich wydarzeń. *Ouang* ze swojey strony opowiedziała mu w całey rozciągłości wszystkie poniesione krzywdy i ostateczną rozpacz, do którey podła przemoc *Liu-pao* ją posunęła.

Natenczas *Liu-yu* dawszy swey żonie należyte pochwały, na jakie jey wierność zasłużyła: wykrzyknął, jeślibym przez ślepą chciwość bogactw, zatrzymał przy sobie znalezione przypadkiem dwieście *taëlów* mógłżebym odzyskać nasze lube dziecię, jeśliby skąpstwo nie dozwoliło mi poświęcić tych dwudziestu *taëlów* na ocalenie tonących, móy brat miły zginąłby na dnie wody, i jabym go już nigdy nie uyrzał. Jeślibym szczęśliwym trafem nie napotkał jego, zdołałżebym odkryć w porze zamieszanie i niepokoy panujący w domu? Bez tego, droga ma żono, nie bylibyśmy więcey z sobą połączeni; nasza rodzina rozpierzchła na różne strony, w naycięższym pogrążyłaby się smutku. To wszystko jest skutkiem szczególnieyszey opatrzności nieba, która kierowała biegiem tylu, i tak rozmaitych wypadków. Co do mego dru-

giego brata: ta wyrodna gałąź naszego szczepu, niecne plemie cnotliwego rodu, co przedał mimowolnie swą żonę, słusznie ściągnął na siebie to nieszczęście, które go teraz przywala. Wszechwładna istność wynagradza lub karze ludzi podług wymiaru ich zasług, i nikt sobie pochlebiać niech się nie waży, iż zdoła uniknąć baczney nieba sprawiedliwości.

Uczmy się z tego, jak korzystną jest rzeczą pełnienie cnoty; ona tylko uświetnia domy, i w ciągłey lat kolei coraz większego przydaje im blasku.

W poźnieyszym czasie *Hi-eul* udał się po swoję żonę, córkę *Tchina*. Związek małżeński się zawarł pod błogą niebios wieszczbą; bo trwałe szczęście dla obu ustalił. Mieli mnogie potomstwo, a w sędziwey wieku dobie z rozkoszą piastowali na swojém łonie drobne dzieci wnuków, z których liczni drogą nauk wysokiego nabyli oświecenia, i do ważnych urzędów powołanymi zostali. Przez takie to cnoty, ta familia zjednała sobie tyle znaczenia i sławy.

Przekładał z francuzkiego A. Or.

POEZYA.

KOLUMB.

Jak oni płyną po tym oceanie,
Gdy takie wichry, taka huczy burza;
Raz zda się okręt obłokow dostanie,
To znów w bezdennych przepaściach się nurza.

I grzmiące niebo stawi się im sprzecznie;
Lecz płyną. Kolumb zachęca żeglarze:

»Płyńcie, świat nowy znaydziemy koniecznie,
»Ot tu na zachod zaraz się pokaże.«

Wy! co was zamiar nie straszy ogromny,
Lecz sił wam braknie, wśród burzy tak długiey,
Ah! trwaycie bracia, i mieycie przytomny
Obraz Kolumba żeglugi.

Jak on przeczuciem kierując swe żagle,
Uyrzał nareszcie kray Indyyski złoty;
Tak wam świat nowy pokaże się nagle.
Tylko idźcie drogą cnoty.

Ah! jak ta burza ciężka do zwalczenia!
Wyspa rozkoszy do siebie was wzywa;
Ale przebądźcie to morze cierpienia,
Za niém się niebo ukrywa.

Niechay to zowie marzeniem zabawném,
Mędrzec, co wyższym mieni się od ludu;
A chce, by zyskiem płacono mu jawnym
Każdą chwilę jego trudu.

Wszystkich początków chcesz już dociec źrzódło,
Proszku, co żyjesz sam w niedawney chwili.
Płyń — gdy przeczucie żeglarza nie zwiodło,
To i ciebie nie omyli.

Antoni Gorecki.

Smieją się zemnie.

Smieją się ze mnie, że byłem w kościele,
Żem ciebie wielbił nieśmiertelny Boże!
Stworzcie świat jeden, jak on stworzył wiele,
To ja i dla was hołd zdziwienia złożę.

Lecz po cóż szydzić, czemu ja nie szydzę,
Do ziemskich bożkow ciśniecie się progu,
Jak was tam zgiętych, jak spodlonych widzę,
Ja o nic memu nie przykrzę się Bogu.

Wiem, że me szczęście w mojey własney woli,
Iż żaden z ludzi zbawić mię nie zdoła;
A gdy wart będę, choć w naylichszey doli,
On sam mnie znaydzie, on sam mnie zawoła.

Lecz gdy rok każdy światleyszym mię czyni,
Gdy coraz nowym zadziwiam się cudem;
Nie mógę wstrzymać, biegę do świątyni,
»Jakżeś ty wielki Boże!« śpiewam z ludem.

A. Gorecki.

Dolina.

Byway mi zdrowa piękna dolino!
    Gorzkiemi żegnam cię łzami.
Nigdy z pamięci chwile nie zginą,
    Przebyte z twemi drzewami.

Tu jakiś urok, przejął mi serce,
    Jakiego dotąd nie pomnę:
Depcąc kwieciste twoje kobierce,
    Widziałem bóstwo przytomne.

Wierzę ja wprawdzie, bo wierzyć trzeba
    Roskoszom w rayskiey dziedzinie;
Lecz choćby dziś mi otwarto nieba,
    Wolałbym zostać w dolinie.

Tu naprzód ziemia kraśne dywany,
    Pod stopy wiosny rozściela;

Tu bystra rzeka przez buyne łany,
Błękitną wstęgę rozpięła.

Tu, gdy noc srebrne potrząśnie rosy,
Pieją słowiki miłośne,
Witając kogoś zgodnemi głosy,
Nie wiem, lecz zda się, że wiosnę.

W miękkiém objęciu świeżych jedwabi
Sród wonnych czeremchy wianków,
Łagodnym szmerem strumień tu wabi
Przyjaciół, czułych kochanków.

Czémże mu niebo? ktoby tym celem
Twe święte przemierzył smugi?...
Dwakroć jem przebył, raz z przyjacielem;
Lecz ah! sam tylko, raz drugi.

Gdy się bez ładu prędki krok błąka
Skał przebywając ułomki;
Nagle przed oczy wybiegła łąka,
Wieyskiemi posiana domki.

O jak szczęśliwe te niskie strzechy,
Jak często w pośród nich gości,
Miła jak słówko tkliwey pociechy,
Powabna jak łzy wdzięcznosci.

Tu zwykła błądzić śród te parowy
Piękna jak ideał cnoty;
Chcesz o niey wiedzieć: zapytay wdowy,
Zapytay każdey sieroty.

Lecz pódźmy daley, gdzie darń zielona,
Trud do spoczynku przynęca;

Swięty to pomnik, co tkliwa żona,
Miłości męża poświęca.

U spodu kamień twarde granity,
Na państwo wody rozciąga;
Czołem spłaszczony, dnem w piasek wryty,
Mruczącym falom urąga.

Na tym kamieniu niegdyś mąż prawy,
Synom cnot wszczepiał nauki.
Na grobie jego rosną dziś trawy,
Na trawie igrają wnuki.

Tu zwykle w cieniu gęstey leszczyny,
Gdy słońce południem strzeli,
Bawią niebieskie nimfy doliny,
Sród srebrney tonąc topieli.

I ty tu często Edwardku mały,
Igrając w objęciu matki,
Lubisz podrażniać krnąbrne kryształy,
Miotając listki lub kwiatki.

Bądź zdrów Edwardku. Ciebie w mym rymie
Smiem tylko żegnać w tym domu.
Oby mię kiedy choć twoje imie,
Raczyło przypomnieć komu.

Bądź zdrów! daleko czekają na mnie,
Powinność woła mię święta;
Ah! choć ty o tym pomniy przynamnie,
Co o was wiecznie pamięta.

A. E. O.

Wiersze z Imionników wyjęte.

1.

Pisany nad morzem Baltyckiém.

Błogo temu! kto w twojey pamięci utonie,
Jak ów koral, lub jako jagoda perłowa,
Co ją woda Baltycka w swém przeczystém łonie
Pod lazurową gazą na wieki przechowa.
Lecz ja, jak drobny kamyk, ni krasą korali
Ni wdziękiem perłowego dochodzący blasku,
Chciałbym choć jednę chwilkę poigrać w tey fali,
Nim wyrzucony legnę w niepamięci piasku.

2.

Jak wielorakie świecą na tém błoniu kwiaty,
Jedne sztuczne w jaskrawych dowcipu ozdobach,
Drugie przyjaźń sadziła, te wzrastają z laty,
Inne żałośnie więdnąć zdają się na grobach,
W których są pochowane szczęście i nadzieje.
Kiedy Pani przechodzi ten ogród pamiątek
Nad jednym może westchnie, z wielu się rozśmieje,
Uyrzy i szczupły dla mnie oddany zakątek;
A choć równie z innemi nie możesz go cenić,
Chociaż wyda się tylko samotną drożyną,
Która długiego słońca i niepogód winą
Nie może się zakwiecić, ani zazielenić;
Wspomnisz jednak o dróżce choć z tego powodu,
Że przedziela kwatery pięknego ogrodu.

A. M.